

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDLA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 7 LISTOPADA 1915

NR. 15.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Patrol.

Fot. Z. Langer.

PRZETRWAC PRAGNAĆCYM.

Zawsze uderzały mnie w literaturze niemieckiej dwie egzotyczne postacie, nad wiek swój wybujałe, które mężczyły się z życiem za własnych czasów i dopiero w ostatnich czasach wydobyte zostały ze mgły zapomnienia i uznane za poprzedników nowych w literaturze prądów i za wyrazicieli potrzeb nowoczesnej duszy. Jeden to Hölderlin, dusza posępna, zawarta w sobie, ze wzdargą odcinająca się od otoczenia, które jej nie prócz zawodów, dać nie mogło, poeta subteln i znawca cudowny starogreckiego ducha, przez Karola Joela postawiony jako poetycka i filozoficzna natura w jednym rzędzie z Fryderykiem Nietzschem. Drugi, to Kleist, temperament przewrażliwiony, w czasach olimpijskiej pogody Göthego reprezentujący indywidualistyczną wichrowatość natury, znawca tajemniczych porywów ludzkiej przyrody, pod koniec życia korzący się w twórczości swej wobec wyobraziciela ładu i porządku społecznego, pod który jednostka wszelka karnie poddać się musi.

Jest w twórczości Hölderlina dzieło, które zawiera w sobie w sposób genialnie przenikliwy krytykę całej kultury Niemiec osiemnastego wieku: Niemiec, które szczytami swemi odsoniły ponownie wspaniały blask starożytnej Hellady i odbudowały humanistyczną kulturę grecką, cieszącą się człowiekiem i tę radość z człowieczego życia, zgodę z człowieczem ja wewnętrznem stawiającą jako jedyny ideał istnienia ziemskiego. Dziełem tem „Hyperion”. Bohater Hölderlina przeżywa w duszy swej z nadzwyczajną intensywnością ów olśniewający obraz dawnych boskich czasów. Zamiast tej dawnej, wypieszczonej w duszy wizji idealnego życia wszelako widzi naokół siebie świat drobnych zachceń i kramarskich natur, niezdolnych zrozumieć, że mogli być kiedykolwiek ludzie, których loty w niebosiężne zabiegały regiony. Poznaje tedy Hölderlin, że ta kultura, jaką wydzwigniono z grobowców starożytnego świata, za szeroka jest, za wielka, jak na potrzeby społeczeństwa, w którym żyje. Owa bajeczna synteza, obejmująca filozoficznie świat rzeczy ziemskich i zaświat zarazem, zbyt bogata, zbyt zbytowna była, jak na potrzeby narodu, który w osiemnastym wieku rozproszkowany był na drobne państewka, gdzie każde książątko uważało się za bezpośredniego zastępcę Boga na ziemi i który spokojne idylliczne, na polu wiejskie, drobnomieszczańskie na polu wiódł życie, rozsiedlony w malowniczych dolinach nad wijącym się kręto Nekarem, czy Renem. W dzień poczciwie orano zagon ojczysty lub robiono pończochy, wieczór, gdy głos sygnaturki niósł się po wierzchołkach gór i niwach zacisznych, odmawiano modlitwę i szeptano sobie do ucha najświeższe plotki. Cały Hölderlin i jego nieszczęśliwe życie, mrokiem obłędu osłonięte pod koniec, jest właśnie jedną potężną tragedią, wyrazem załamania się wielkiej kultury, której nie dorosło własne społeczeństwo. Olśniewając piękny kwiat, wyrosły na trzęsawisku zwyczajnego, na żabią perspektywę życia. Dzieło Hölderlina i samo jego życie, jest najlepszą krytyką, jaką można było przeprowadzić co do twórczości Göthego czy Schillera.

Po takim momencie negatywnym, jaki w rozwoju psychiki społecznej niemieckiego narodu oznacza Hölderlin, Henryk Kleist, stanowi już moment czysto pozytywny. Kleist, to chwila przerodzenia się ducha zbiorowego Niemiec, to wielki moment dziejowy, w którym ginie drobny mieszczech z powierzchni zbiorowego życia, gdzie stanowią dotąd ideał rozwoju, a rodzą się Niemcy nowe, Niemcy zjednoczone, czujące potęgę własną jako na-

rodu, rozglądające się dumnie po obszarze ziem i mórz i patrzące, jakie miejsce na globie im wola i hart własny wyznaczy. Tę fazę wielkich przemian, w której jednostka poczuwa się nagle do przynależności do wielkiego zbiorowiska, związanego wspólnymi węzłami krwi, kiedy czuć poczyna, że ona jest przemienem tylko ogniwem w zbiorowym tem istnieniu i że silniejsze prawa przyrody rządzą ludzkim życiem, aniżeli popęd osobnika do samozachowania się i do dobrobytu, to właśnie w psychologii zbiorowej Niemiec wyobraża Kleist.

Tego rodzaju rozważania przychodziły mi stale na myśl, ilekroć rozmyślałem na temat owych tajemniczych czynników, które powodują, że w pewnej chwili pojawiają się z nienacka na dziejowej widowni narody nowe, potężne, ożywione bujną wolą życia i rozrostu, wybijające się na szczyty dziejów jedynym jakby podskokiem na miarę olbrzyma, stawiające się nagle w poczet najdostojniejszych rodzin pośród narodów i nie dające żadnym zakusom zawiści wydrzeć tego, co sobie raz już wola hartowną, nie znającą przeszkód, zdobęda. Te dwa przykłady: Hölderlin i Kleist są jakby najpedagogiczniejszą ilustracją zagadnienia, o jakie nam chodzi. Zanimby się zrodzić mogło potężne państwo, któreby zdolne było wytrzymać napór zawiści i egoizmu dotychczasowych niepodzielnych władców świata, musi wprzód narodzić się w społeczeństwie zbiorowa psychika, któraby zdolna była do wytrzymania miary wymagań, przywiązywanych do członka takiego narodu, któraby posiadała odpowiedni zasób sił moralnych i któraby wypracowała potrzebny skarbiec idei społecznych, budzących zbiorową wolę do wytrwania. Zanim powstało wielkie imperyum niemieckie dziewiętnastego wieku, poprzedzić je musiało ugruntowanie moralnych podstaw w samem społeczeństwie. Kleist poddał wybrki jednostki pod nieublaganą wolę zbiorowości, Hegel następnie państwo uznał za najwyższy wyraz Bożego prawa na ziemi. Na tak urobionej niwie zbiorowego ducha wyrósł mógł dopiero kwiat krwawy, czerwoną swą barwą wieszczący, czem jest narodowej woli niezłomność.

Takie jest prawo socyologiczne powstawania nowych silnych organizmów państwowych. Przedmiot, do którego prawo to się stosuje, zmieniać się może. Co raz nowe wyrastać mogą, świeże w rasie swej, młode w woli życia, narody, do których przyszłość należy. Potrzeba tylko, by wyrosły wprzód siły duchowe w narodzie, urabiające czyny miarą wielkich zamierzeń. Forma państwowa wyrósć musi zawsze z głębin psychicznych społeczeństwa. Kultura społeczeństwa dojrzeć wpiery musi do tego stadyum, gdzie rodzą się odpowiednie siły moralne, zdolne państwo własne wytworzyć i zdolne je utrzymać na dziejowych szczytach. Kultura nie może być społeczeństwu narzucona jakimś jednostkowym kaprysem. Wyrósć ona musi organicznie z łona narodu samego. W przeciwnym razie dochodzi się do tego, czego przykład mieliśmy na Hölderlinie, że kultura jest zbytkiem jeno dla ludzi wybranych, jest niepotrzebna w takiej formie samemu narodowi. Kultura naówczas staje się jakimś upiorem, mrużącym oczy wobec światła dziennego, bezkrwawą stworą, żerującą po nocy na trupach czasów minionych. Hölderlin najlepiej uwidocznił, że ów humanizm, którym szczyła się Niemcy XVIII. wieku, był fazą romantyczną niemieckiego narodu. Była to kultura, utrzymująca się sztucznie, umową

tylko na powierzchni życia. Dla szerokich warstw społeczeństwa była ona czemś niezrozumiałym zgoła. Ono mierzyło życie miarą swoich małomieszczańskich wartości.

Nie można się powstrzymać, by nie przywieść wszystkiego tego na pamięć, gdy w chwili tych wielkich, do dna dziejów sięgających przewrotów, jakie się rozpełtały nad naszymi głowami, co jakiś czas na nowo z tego lub owego kąta wychyla ktoś głowę z piwnicy, w której przesiedzieć chce huraganów falę i na świat wyrzuca hasło: na Boga sąsiedzi, tylko nie eksponować się zbytnio! Byleby przetrwać tylko to wszystko szczęśliwie. Na Boga! znowu strzelają. Narodzie, ratuj się kto może! Szust do piwnicy!

Kto w imię czego ma prawo mówić o przetrwaniu?

Zawsze się tak zdarzało za dawnych dziejów w Polsce, że gdy rycerze na froncie w spotkaniu z nieprzyjacielem wręcz krew swą i życie oddawali za Ojczyznę, za plecyma ich rozpoczynały się nagle rządy ciurów obozowych. Wojna, męstwo rycerzy, ofiara krwi i życia, wszystko to było na to jeno, by panoszyć się mogły obozowe ciury. Oni zawsze przetrwali każdą potrzebę wojenną i gdy kwiat polskiego rycerstwa głowami swojemi pole zaścielał, pozostały jeno ciury, które zbierały spuściznę po wojownikach i panoszyły się kosztem ich życia.

Klęską polskiego narodu było przez cały przeciąg szlacheckiego gminowładztwa to, że nie było wytworzonej kultury społecznej, któraby potrafiła doróść do zrozumienia wymogów, jakie posiadanie własnego państwa na członka narodu nakłada. Polska była mocarstwem wielkiem dopóty, dopóki rządy jej spoczywały w ręku nielicznej oligarchii możnowładczej, odznaczającej się ogromem kultury i politycznego rozumu, która potrafiła ster rządów w ręku swem trzymać i państwu zapewniać stanowisko mocarstwowe. Z chwilą, kiedy wymierają wielkie te możnowładcze rody i kiedy się poczynają rządy szlacheckiego gminu, nie posiadającego dostatecznej politycznej kultury, poczyną się też dekadencja, a w ślad za nią całkowity rozkład polskiego państwa.

Tadeusz Dąbrowski.



Z teki L. Gottlieba.

T A D E U S Z Ś W I A T E K : Z P R Z Y K A Z A Ń

A CHOĆBY SIĘ NIE ZIŚCIŁ CUD,
O POLSKO, TEŻ SWÓJ OREŻ, TEŻ —
W OKRUTNEJ MECE PRĘŻ RAMIONA,
CO JEST SŁABOŚCIĄ, NIECH JUŻ SKONA,
A CO JEST Z MOCY, NIECH POWSTAJE.
GDY DUCHY LECA NA WYRAJE,
GDY W SERCACH MOC STWARZANIA WZBIERA,
CO SKARGĄ JEST, NIECHAJ UMIERA.

MIEŁOŚNIE WCHŁOŃ SIĘ W OPETAŃCZY
WICHER, BO LOS SIĘ W NIM TWÓJ NIAŃCZY,
TEN NA STULECIA TWÓJ LOS, TWÓJ!
WIERZAJ, ŻE ŻYCIE ZNÓW ZATAŃCZY,
JAKO PŁONACYCH ŻAGWI RÓJ
I Z POCHODNIAMI TANIEC ZŁOTY.

ZATRUTY JAD TWOJEJ TĘSKNOTY
NIECHAJ W ROZKOSZY SIĘ UTRACI —
KREW BOHATERSKA TWOICH BRACI
I TWOICH SYNÓW NIECH TO SPRAWI,
ŻE TEN, CO ZWATPIŁ, ZNÓW UWIERZY,
IŻ DUCHY, JAKO SZLAK ŻÓRAWI,
LECA W ZORZANY BRZASK RUBIEŻY;
ŻE TEN, CO WZGARDZIŁ LUDZKIM DUCHEM
I PLWAŁ W DOSTOJNOŚĆ CZŁOWIECZEŃSTWA,
OLŚNIONY ZJAWĄ TĄ MĘCZEŃSTWA,
PORWANY ŚWIATOBURCZYM RUCHEM,
ZROZUMIE, ŻE POD POPIOŁAMI
KŁAMSTWA, OHYDY, NIKCZEMNOŚCI
CZAI SIĘ WIECZNY SKARB LUDZKOŚCI:

BO JAK ZWYCIĘSKIE PIÓROPUSZE
POWSTAJE ZDAWNA UTRACONA,
JAKO MARZENIE JUŻ DALEKA,
TA, CO SIĘ ZDAŁA KŁAMNYM SNEM:
ZMARTWYCHWSTAJĄCA PONAD ZŁEM
WIAARA W BOSKIEGO CZŁOWIEKA.

ISKRA, CO ZDAŁA KIEDY MAMI,
ZDA SIĘ JEDYNNIE KŁAMNĄ ZŁUDA,
SNEM TYLKO, SERCA JENO GŁODEM —
AŻ SIĘ OBJAWI NARAZ LUDOM,
WE KRWI FONTANNIE ZNAGŁA TRYŚNIE,
RUNIE ZWYCIĘSKICH MAS POCHODEM,
PLASEM POWIETRZNYCH STATKÓW ZWIŚNIE,
SZCZĘKIEM, RZECHOTEM KUL ZAWARCZY.

TEN SKARB LUDZKOŚCI, CZY GO ZNASZ?
SPARTAŃSKIE: Z TARCZA LUB NA TARCZY,
DZIŚ Z LOSEM GRĘ O DOŁĘ GRASZ,
A WCZORA JESZCZE W SZAREJ GRUDZIE,
W ZAPIEKŁEJ BRŃAŁEŚ NIENAWIŚCI.
WIESZ JUŻ, CO W KRWAWYM DZISIAJ TRUDZIE,
W OFIARY CUDZIE CO SIĘ IŚCI?

RZECZ NAD ZWYCIĘSTWA KOSZTOWNIEJSZA,
PONAD ZABORY I TROFEEJE,
GŁOŚNIEJSZA, NIŻLI TRAB FANFARY:
TO, ŻE SIĘ SPŁOSZYŁ DZIEŃ TWÓJ SZARY,
W KTÓRYM SIĘ ŻYCIA CUD POMNIEJSZA;
ŻE W DNIU DZIEJOWYM, KTÓRY DNIJE,
BUDZI SIĘ TAKŻE NAJCUDNIEJSZA
Z MIŁOŚCI SERCA CZŁOWIECZEGO:
ZACHWYT, CO POI NIBY TRUNEK,
W KTÓRYM SĄ ŻYCIA TALIZMANY;
MOCNIEJSZY, NIŻLI ŚMIERĆ; KOCHANY
BARDZIEJ NAD SZAŁ I POCAŁUNEK,
W KTÓRYM SIĘ OBEJMUJĄ DUSZE,
KIEDY Z NICH JEDNA W SPAZMIE KONA, —

E W A Ł U S K I N A : Z N A K

Jak przystało temu, co ma stać się legendą, zdarzenie to ma kontury mgliste. Lat temu kilka podobno — gdzieś, kiedyś, za czyjąś sprawą — i któż to opowie? — zdarzyło się, że znalezioną została na ziemi polskiej — korona polska.

Nieomal skłonnym się jest uwierzyć, że ten nimbus królewski, ta obręcz zettalego złota, co na amarantach aksamitu mgławo przebłyska z za szyb skarbcza Wawelskiej Katedry, to nie przedmiot uchwytny, ale znak dany przed czasem, wizya prawdziwego majestatu, skrystalone zachwycenie, zjawione źrenicom pokutnika, nawpół osłepłego we łzach i tęsknocie.

A to prawdziwe odnalezienie korony dokonywa się dopiero teraz.

I gdzieżby dokonać się miało — przecież nie pod kamiennymi brukami miast i nie na rozstajnych drogach handlowych gościńców, — lecz tam, gdzie stała kolebka ludu, gdzie piastowa pasieka woniała i dzwoniła pracą pszczół, skąd potoczyło się, urobione na wieczystą moc, koło dziejów narodu — na wsi polskiej.

Wież trwała — ta sama co przed setkami lat. Huczała nad nią nie jedna burza, przewalały się wichry orka-

nów, — jej nic nie wytrąciło z tępego odrętwienia, z głuchej senności, tajemnicy pierwotnej mocy.

Aż przyszedł kataklizm, który wstrząsnął samą naturą. Widnokreśli rozgorzały od błyskawic, niebo spękało się całe siecią piorunową, ziemia jęczała, ryta pociskami, przeorana do trzewiów, lasy potrząskane legły gdyby zmiecione trąbą powietrzną, świecąc białymi gnatałami, ginęły miasta i z krzykiem zapadały się jak w trzęsieniu ziemi... — wieś trwała, w prostaczej ufności w wiekuistość swego bytu.

Wiosną chłop ciągnął plug po roli, siał święte ziarno, o sianokosach dzwonił w stal po łąkach, na żniwa gotował sierpy i uprzętał stodoły, krzątał się koło obrzędku, jako to jest zwyczajnie. Spracowana wieś usypiała wcześniej. We dworze pan, z bożej łaski dziedzic z prapradziada w modrzewiowym domu i pod niską strzechą chłop pokorny, — obaj nie dbający, że co noc bliżej horyzont zapala się coraz krwawszymi łunami. Dopust boży, ale to nie dotyczy ich granic — wieś żyć będzie, choćby i po końcu świata.

A huczy! — niech tam sobie huczy... Wczoraj granat wyrznął u stóp figury na rozstaju — a Boża Męka stoi jak stała.

Tymczasem zaciskał się krąg ognisty. Powiew donosił już dymy, ciemne, duszące — i zarzucał je na przestwór, jak zatrutą zasłonę, co odurzało zmysły uspiionych ludzi. Szła zagłada.

A wieś spała. Jak utulone jagnię w miękkiej runi łąk, pod przewspaniałym namiotem, współdzianym z pól lazuru i purpury. Z jednej strony modrzeje ciemny bławat pogodnego nieba, szyty srebrem drżących gwiazd, z drugiej szkarlatny bisior pożogi mieni się haftem złocistych iskier, rozsypujących się w świetnych bukietach na połowie widnokregu.

Na owem tle pięknem złowrogo, czarnym konturem rysował się na wzniesieniu dwór w okoku starych drzew, i piersią swą, jak wierną tarczą, osłaniał leżącą poniżej, cichą i ufną wieś. Dwoma długimi sznurami ciągnęły się wzdłuż drogi uspiione chaty, pod błękitnawym mżeniem gwiazd, i śniły przygięte sady swój ukójony sen letniej nocy.

Raptem od strony ognistej zasłony przeleciał wąski, pasowy błysk, jak rzucony mak. Padł na bocianie gniazdo za stodolą, założone na szczycie wysokiej topoli — i wnet oboje zajmują się jasnym płomieniem. Bury dym owiewa tę żywą pochodnię, z bolesnym skwirem usiłują unieść się w powietrze poranione ptaki, lecz na popalonych skrzydłach upadają ciężko na ziemię.

Przedziwny, szkarlatno-dymny welon spowija park, który jest jak bukiet dziki i wonny. W purpurowym mroku, z pomiędzy rosochatych pni, jawi się oczom sędziwy dwór, jak ślepy, bezbronny starzec, występujący przeciw najezdnikom. Dostojną swą niemoc wspiera na czterech białych kolumnach, jak na troskliwych ramionach córek, co rozróżwione bijącą luną zarysowują się kształtem czystym i wprost zjawiskowym, tak zdają się nieważkie i eteryczne.

Ta piękność przedzgonna trwa tylko chwilę. Bo oto już lecą pioruny!... Biją w dach czcigodny, który zalał się w wali w głab, z wnętrza wystrzela jeden po drugim słup ognia i wraz opada, tylko krwawe jęzory płomienia buchają ze ścian, jak z ofiarnej kruży.

Cienie ludzkie wybiegają z płonącego domu, z podniesionymi rękami — i uderzają w bok, w pole...

— Gore...

Wieś dręczona ciężkimi snami kuli się w trwodze, przyginają się strzechy, by zaś nie pochwyciła je za włosy zbójcka ręka ognia.

Stary dwór, jak czara z bursztynu, napelniona żarem, poczyna cały trzaskać się i druzgotać. Ogień gryzie i szcerbi zębry zaciekłym zębem, spękane jasne okna, jak wyżarte krwawą lżą źrenice, ronią ostatnie błyski, ciemny dym mocuje się z płomieniem, zadławia go pod sobą, nagina się ku nizinom i rozciągając się w smoczy ogon, migocący iskrami, przetacza się ku wsi, — na niskie strzechy, na śpiące sady, — nakrywa je śmiertelną oponą, z której wnet rozszałają się rzeki płomieni.

Zatrata gniazd — — —

Na szczerem polu opodal legł krzyżem człowiek, który uszedł, a któremu odtąd nic nie pozostało na ziemi. Nad głową jego lecą złote, łopocące skrzydła pożogi — osmalają mu włosy i odzienie — a on ani drgnie, jak gdyby padł w objęcie swej tęsknoty... Aż i owe skrzydła pożarne zwiąć się poczęły, opadać i ciemnieć, — jeszcze tylko migoczą po nich iskrami pisane tajemnicze znaki i słowa, jak na skrzydłach motyla, zwanego przez lud „kara boża“.

Ni kopice suchego siana na łąkach, prędko porgorzały chaty, w zgłiszczach dogasał żar, jak jarzące

karbunkuly — i tylko dwa rzędy czarnych kominów sterczą z gruzów jak ręce wyciągnięte o pomstę do nieba! Ponad i daleko po polach stanęła mętym, duszącym obłokiem ruda szejoga.

Wówczas człowiek dźwignął się z ziemi i nie obejrzawszy się za siebie ni razu, poszedł w stronę lasu, co w pobliżu wyciągał cieniste ramiona. Po drodze potknął się o coś wśród bruzd i schylił mimowoli. Była to zapomniana motyka. Bezwiednie podjął narzędzie — i dopiero uczuwszy je w dłoni, mocno ujął i zacisnął.

Rozsunęły się drzewa leśne, i w gwiezdny pomrok nocy otwarły na małą polanę. Pośrodku rosochata lipa wyrasta. W słońcu południa grająca cała pszczołami jak skrzypki weselne, w bladeści nocy zadumana, roni cicho kwiecie pachnące... Ku temu to drzewu dąży teraz człowiek pewnym krokiem. Stanął pod lipą ciemny i sztywny, jak drewniany posąg świętego, tylko lekki powiew nocny muska pieszczotą jego opalone włosy. Odetchnął ciężko, zgiął barki, oburącz ujął motykę, pod drzewem kopie dół. Liszki mają jamy, a ptacy gniazda, — a syn człowieczy... zazdrości liszkom i ptakom, bo niema gdzieby głowę skłonił. Może w ziemi schronienie wygrzebać próbuje — a może człowiek nieszczęsny, spragniony spoczynku, kopie pod drzewem — samotny grób.

Odrzucił narzędzie, schylił się, wybiera ziemię. Ręce natrafiają na przeszkodę. Niecierpliwe palce szarpia żyły drobnych korzeni, ranią do żywa delikatną tkankę, rwą cienkie włókienka, któremi zarósł skarb, jak starożytną pajęczyną. Nareszcie!... wydarł go z dna! Bryła oblepiona czarną ziemią, jak czaszka olbrzyma. Odpadają wilgotne grudy, twardość metalu pod palcami. W półświetle nocy obnaża się czerep żelazny, rdzą zżarta przyłbica rycerska. Zetlałe strzępy tkaniny uścielają wnętrze... Palce zatrzymują się... Wyczuły kształt czarodziejski i wierzyć nie śmiały... Wewnątrz coś majaczy, jak w orlem gnieździe wianek jasnych piskląt... Jeden śmiały ruch... Rdzawy czerep leci na ziemię — a w ręku człowieka zawisa — korona!

Nędzarsz, o przepalonych gorączką rysach, stoi nieruchomo pod lipą, nad rozkopanym własnym grobem — i kornie wpatruje się w ów wian ściemniałego złota. uwity z lili heraldycznych i z łamiącego zmysły majestatu.

Jak dziecię w bezpiecznej kolebce, usłane w wiernym rycerskim hełmie, spała długo, skryta przed zbójcami — a oto wskrzesła jak owa dziewczeczka, o której powiedziano, że nie umarła, ale śpi — i migocze rosą klejnotów, jak lśnieniem mrużących się, jasnych źrenic.

Rysy człowieka, zmęczone cierpieniem, skupiają się, tężeją, jak rzeźba kamienna. Śmiało przekroczył otwarty pod stopami grób i w obu dłoniach wznosi dziewczęcą koronę — wysoko... ku gwiazdom wieczystym!

I nie wie, że po za nim stary bór wraz rozświetla się błękitnem blaskiem próchna, którem skrzy wykrót olbrzymiego dębu. Świeci mgławo węzowisko spletaných korzeni, jama wysłana mchem, zarosła koronkami paproci, zasnuta pajęczyną, na której nawisły wielkie krople rosy.

Ale oczy „widzącego“ jak oczy dziecka, patrzą inaczej. Ktoby nim był, ujrzałby snadnie, że to nie korzenie i próchno, ale skarby Sezama. Leje się szafir i srebro. lśnią iskry błękitnych dyamentów, zwisają sznury urykańskie pereł — a w głębi, na makatach największych, majaczą mglisto nagie ciała uspiionych kobiet, jak zapomniane marzenia.

Samotny człowiek nie przeczuwa niczego, co staje się

po za nim. Ale rysy jego jaśnieją już całkowitą mocą i wiedzą. Oto las uczynił go piastunem korony, którą trzeba oddać kędyś, komuś... Ukrywa na piersi królewski klejnot, za szmatem popalonej koszuli i schyla się po czerep, leżący mu u stóp. Zardzewiała rycerską przyłbicą nakrywa czoło...

W tym gościu zdecydowanym zdaje się leżeć potęga, która budzi uspięne czary. Ożywają mgliste marzenia — kobiety. Odchylają się białe rzęsy, podnoszą z leż białe ciałka... Maje leśne, z ośniedziałych, starożytnych, szkatuł dobywają ryszunki misterne, płaszcze dziergane, dzirzoty lśniące, szable z błękitnej stali, perłami wzdłuż

klingi dźwięczące... A potem, po mchach i dzwonekch leśnych idą sznurem przez polanę i otaczają kołem samotnego człowieka, który o tem nic nie wie. Odziewają pierś jego kirysem niewidzialnym, a stopy poranione obuwają w ciżmy rycerskie i miecz ostry, wybrany z tysiąca, przypasują mu u boku. Poczem znikają one — i wszystko co jest ze snu, wyprędzone przez duszę.

A na ziemi zostaje tylko człowiek, który z dna nędzy, z nad skraju własnego grobu, dźwignął się i świadom jest wszystkiego, co mu uczynić należy.

A tak duchem jeno zbrojny, stanął jako ci dawni — rycerz błękitny...

Z O P O W I A D A Ń L E G I O N I S T Ó W.

W POCHODZIE.

Wyszedł pułk z kwater wczesnym rankiem, szarzało dopiero. Długą dziś i mozolną drogę mamy przed sobą. Rozwinęły się bataliony szarym węzem, który szybko sunął szerokim gościńcem. Świeżość poranku krasila twarze i mrużące się jeszcze ze snu oczy. Idziemy nie w pierwszej linii, więc bez ubezpieczeń i przednich straż. Kilkadziesiąt kroków przed czołem pułku grupa konnych. — Sztab. — Parskają wierzchowce poklepywane po karkach. Zdrów, zdrów — odpowiadają jeźdźcy.

Porwał się w którejś z pierwszych kompanii śpiew, pochwyliły nutę następne.

— *Jest już wojna z Moskalami,
nasz komendant idzie z nami...* —

poszło wzdłuż kolumny, aż utknęło gdzieś w połowie. Bo — oto, jakiś rozochocony już od rana pluton, wyśpiewuje tak typowo żołniersko-koszarową piosenkę, że tylko między żołnierzami można ją przytoczyć.

Zatętniało wzdłuż gościńca. Bokiem, podmarzniętą ścieżką jedzie klusem wyciągniętym oficer. Kasztan pod nim złoty, rzuca głową szarpiając cugłami silnie trzymanymi. Znać po nim, że to rano, wieczorem dużo mniej będzie miał fantazyi. — Jeździec, mimo chłodu, kożu-

blaski swe rzuca na twarz młodzieńczą. Zameldować spieszy zapewne komendantowi, jadącemu na przodzie, że kolumna maszeruje, że tabory dołączyły się, że wszystko w porządku.

Idziemy. A tymczasem słońce podnosi się coraz wyżej, coraz bardziej przygrzewa, śpiewy ustają, zmęczenie ogarnia ludzi. Oderwał się od sztabu jeździec, zwraca się ku jadącemu na czołe batalionowemu: — Melduję, dziesięć minut odpoczynku. Skinał batalionowy ręką, adjutant ku kompanijnym jedzie, — ordynans do następnego batalionu spieszy.

— Aaa — z ulgą staje żołnierz, karabin zdjął z ramienia, tornister poprawia.

— Daleko kwatery? — dowcipniś jakiś wracającego ordynansa pyta.

— Za górką — odkrzykuje tenże w przejeździe. — I śmiech pobiegł po plutonie. Wiedzą to, wiedzą dobrze, że nie za tą górką, ni następną.

— Oddaj konia! — proponuje jeszcze któryś oddalającemu się jeźdźcowi. Tamten już jednak nie słyszy. Po chwili rozkaz pada od czoła. Kolumna zrywa się, i szary wąż poczyna sunąć gościńcem, by po trzech kwadransach, godzinie, stanąć znów, oddechu zaczerpnąć, z manierki, jak jest co, lyknać, i marsz naprzód, naprzód.

Aż ruch większy adjutantów i ordynansów w tył i naprzód kolumny jeżdżących zwiastuje, że coś się gotuje.

Ten jedzie w tył, by o kuchni spytać, tamten naprzód z meldunkiem, że już obiad gotów, ten znowu o miejscu postoju i kwatermistrzach batalionowych donosi. "Nareszcie: — Stój! — Postój półtorej godziny. Za godzinę kwatermistrze na czoło kolumny.

Kolumna rozłamuje się na dwa długie szeregi. Broń w kozły. Żołnierze siadają na szkarpach fos. Po chwili suną środkiem gościńca kuchnie dymiące kolebiąc się i bełkocząc. Każda szuka swej kompanii, zatrzymuje się, — długi szereg głodnych z menażkami w rękach staje węzem. Cierpliwie czeka każdy swej kolei. Komendant plutonu ostatni. Staje rozdawca jadła z długą chochlą, którą zanurza raz po raz w głębiach kotłów. Trzy ich jest. Od rana, po wydaniu śniadania pracują, dymiąc całą drogę. Gdy obiad zostanie wydany, znów napełni się je kawą na kolację. Rozmaitością menu nasze kuchnie nie grzeszą. Czarna kawa, herbata,

rosół z kawalkami mięsa, ryż lub kasza jakaś, to wszystko. Na okrasę czasem do kawy mleka gdzieś gorliwy sierżant dostanie. Zajadają jednak żołnierze z zapalem, chlebem



szek ma na sznurach przez ramiona zawieszony i twarz radosną: nie wiadomo z czego. Może to ranek tylko dnia zapowiadającego się mroźno wprawdzie, ale jasno, od-

wydobytym z torby przegrzając. Już i koniec obiadu — kotły puste. Godzina minęła, adjutant na koń wsiadł i kwatermistrzów zbiera. — Jeden konny na batalion, na kompanię podoficer i z plutonu każdego żołnierza.

Wysyła się w takiej misji spryciarzy zaufanych. Bo taki to i chałupę porządną dostanie i mleko wyszpera, jajek kupi, słomy skądś na pościel wytrząśnie i pluton na kwaterę przyszedłszy, niespodzianki miłe zastaje. — Różnie to jednak bywa. Czasem kwatermistrze na czas nie zdążą, czasem wieś już tak zniszczona, że i najsprytniejszy z sprytnych nic z niej wycisnąć nie potrafi.

Zebrał się więc już kwatermistrze na przodzie. Komendę najstarszy z oficerów objął, konni naprzód podjechali, piesi szybko za nimi zdążają. W pół godziny po nich kolumna rusza.

Jakoś jednak, im dalej, tem ciężiej, tem trudniej iść. Coraz pozostają słabsi w tyle, za wozami się oglądając. Nie każdy jednak szczęśliwe miejsce na nich znajdzie.

Nie sposób opisać trudu i męki marszu, nie zrozumie ten, który tego nie przeżył, któremu rzemienie tornistra w ramiona się nie wgrzyzały, karabin nie stawał się najwymyślniejszej tortury narzędziem. Dzień w dzień dwadzieścia, trzydzieści kilometrów zrobić, bez względu na skwar, na deszcz, na drogę złą czy dobrą, żelaznych do tego iść nóg i płuc potrzeba. Nie wytrzymują też żołnierzyki i marsze właśnie najwięcej ofiar w chorych pochłaniają. Trzymają się jednak nieraz i nad podziw twardo. Sunie kolumna utyłana w błocie, zmęczona deszczem, utrudzona marszem przeszło dwumilowym już, a tu taki znany, okrzyczany, lyczakowski czy zwierzyński obywatel prócz karabinu i tornistra, harmo-

raz goręcej zaczyna się zajmować kwestyą oddalenia kwater. I idzie wieść podawana od plutonu do plutonu, a z ust kogoś przejeżdżającego, a wiedzącego pochwyconą:



— Trzy kilometry jeszcze, może cztery. Wtem jeździec spieszy od przodu, sztabowi naprzeciw. Melduje: Kwatery rozdzielone, sztab we dworze, (na plebanii, czasem u gospodarza którego bogatego), tyle a tyle chałup — ten oddział tu, inny w wiosce o dwa kilometry w bok, i t. p. — Rusza sztab klusem, a już chaty wiejskie widać, — doszliśmy.

A na drugi dzień rano zerwą nas wczesnym rankiem i znów pójdziemy drogą przed siebie. — Pojedzie przodem grupka jeźdźców, sztab, potem szara wstęga piechoty, na człony kompaniami dzielona, potem tabory. Te tabory, które, rzadki dzień, by się nie spóźniły lub w inny jaki najmniej spodziewany sposób kłopotu nie narobiły. Takie nieznośne i tak obgadane, a takie potrzebne. — Suną teraz z trzaskiem, skrzypem, z hałasem jakimś skombinowanym, a wśród wozów dymiące, brzuchate, pełne gołności i zadowolenia z siebie, kuchnie. Wiedzą one, jak ważną są instytucją, o nie największa troska oby przejechały (droga błotna, mostki, takie jakby ich nie było), dla nich najlepsze konie, najlepszych woźniców. Opuszczają już wieś ostatnie wozy, pojechał oficer do pilnowania wymarszu wyznaczony do komendanta meldować: — tabory do kolumny dołączyły się, kolumna maszeruje, wszystko w porządku.

Zaczyna się nowy dzień. Dojdziemy znowu wieczorem do kwater, by następnego dnia ruszyć z nich dalej i iść, aż przyjdzie i na nas czas i weźmiemy udział w tem, co stanowi najistotniejszą część wojny, i do czego wszystko, cośmy robili, przygotowaniem było jeno.

Roman Horoszkiewicz.



nię ręczną, instrument kanciasty i ogromny dźwiga, przez pół Polski obnosi i gra, co tylko dusza zapragnie, a ucho pochwydzi. I nogi jakoś w takt różnie idą i usta do gwizdania się składają.

Godzina podwieczorna już. Kolumna na seryo i co-



Jacek Malczewski.

Wiosna.

JACEK MALCZEWSKI

Pochylają się nad nim, zwielokrotnionym na owych mnogich autobiografiach, jakiemi są zazwyczaj obrazy Malczewskiego, dziwne postacie nietutejsze, sny, symbole natchnień bezdennych, ostatecznych. Skrzy się na nich niesamowity poblask, odstrzelony — zda się — od zaświatów i tęsamę światłość wypromieniowują oczy ciemne, pełne zduszonych błyskawic, oczy tego, który się tym światem objawionym omotał, oprzędł i od ziemi na zawsze odgrodził. I tak samotny, daleki, ze wzrokiem, żelaznymi uchwytami, przytrzymującym jakoby cudną zjawę, wylaniającą się raz po raz z nicości, patrzy na widza, nie patrząc, z posępnej pustelni swych obrazów-wizji, zaklinacz niezgłębionych otchłani natchnienia, nieporównany czarodziej, Jacek Malczewski.

Zagadka wieczności i zagadka narodowych męczeństw, żelazny kontur postaci i przesmutne uroki pejzażu, gwałtowny rytm ekstazy, kamieniejącej u szczytu swoich wzniesień w obraz, oto pierwiastki tej twórczości, o której bez patosu mówić niepodobna.

Bezmiernie, splomienione wizjami mgławice Króla-Ducha doczekały się tutaj konturu, znalazły spadkobiercę, widomą barwę ucieleśnień. Bo wziął w siebie Malczewski cały ów bezmiar narodowych natchnień, przez który przeorała się piorunowymi zygzakami tęsknota Słowackiego, a którym o wieczność potrafił zagubiony w mistycznych otchłaniach, Towiański. Wziął na się Malczewski ono posłannictwo, jako krzyż i opasał nim siebie skroń, jak aureolę. A wtedy oczy, odwrócone na zawsze już od dnia powszedniego, ujrzały onej sprawy promiennosc, nie mającą kresu, ujrzały szlak królewski, gubiący się gdzieś w złotych przepaściach.

I tak goreją obrazy Malczewskiego świetnością barw, w jakich się ukazuje świat oczom ekstazy, oczyszczony z wszystkiego, co jest szarugą codzienności, akordy idei, baśni i barwnego kształtu. I jest w tej kolorystyce Malczewskiego, która swą niezwykłością niepokoi widza, jakieś ogromne tęczenie przeszłości, królewski przepych splendorów, zmartwychwstających w całym bogactwie rozhukanem, pradawnym... Przychodzi moment u wielkich malarzy, kiedy wizja odrywa się bezwzględnie od pokładu rzeczywistości, przestaje być li tylko mgłą, zarzuconą na świat, zmysłom podległą, a staje się światem własnym, zawładniętym przez inną logikę, inną barwę i kształt. O tento moment właśnie zajął się spór nierozegrany malarzy-wizjonerów i malarzy-naturalistów. Twórca kompozycji malarskiej ma zadanie wielce ryzykowne odnalezienia proporcji między indywidualnością własną a światem zewnętrznym, to zadanie tak łatwe dla poety, nie znające podobnych ograniczeń. Słowo jest jakoby jakimś materiałem eterycznym, poddającym się przedziwnie bezwzględnej dowolności skojarzeń. Jest odpowiednikiem rzeczywistości, ale unosi się równocześnie ponad nią, rozmięgotane zmiennością konturów, błyskawicznie przybarwiającej się wraz z każdym nowym oświetleniem. Słowo jest chwiejnym obrazem, rozpylającym się w nieuchwytność pojęcia czy uczucia. Malarstwo ma nad sobą ciągłą kontrolę rzeczywistości i to rzeczywistości naocznej, nieruchomej. Od niej oderwać się, stworzyć inną, a przecież zarysowało się pytajnikiem popod dziedziną sztuki, która w najgłębszym sensie z nią utożsamioną, oto zadanie, które przeszło siły wielu, wielu podcięło, a jednocześnie się zwie popularnie literaturą w malarstwie.

Przecież geniusz istotny ma tu przestwory nieogarnione dla wszystkich niespodzianek twórczej bezwzględności, tej bezwzględności, co się ubiera w płaszcz imperatora i wszystko zaleźnem czyni od swego gestu imperatorskiego. Malczewskiego opętał własny świat wewnętrzny, narzucił mu się, jako nieustająca halucynacja, jako olbrzymia ciągłość przepotężnych akordów, niezmierną symfonią przedzwaniających się nad coraz to nowymi otchłaniami. Wizja Malczewskiego ma koturn, ma niesłychany patos uniesienia, wyłożonego ku rzeczom najwyższym, ostatecznym. Ujęta w kontur, którego przygniatająca energia mówi o dziwnej mocy żelaznego ducha, stroi się w barwy inne od tych, jakim holduje oko, urzeczony przez świat naokolny. Ideą, która daleko poza sobą zostawiła rzeczywistość, nie mogła zadowolić się paletą malarza przedmiotów. U Malczewskiego wszystko dokonuje się w jakichś cudownych oddaleniach, w jakimś bezmiernem

podniesieniu, które porwało ku sobie świat barw, by zeń wygrać wyolbrzymiałe akordy, nieskończenie świeższe od tych, w których zastygła dekoracja zewnętrzności. Malczewski jest wizjonerem barw, jak jest nim w poezji Słowacki. Zgarnęli oni ze świata te momenty barwne, których świetność i siła odpowiadała błyskawicowej świetności i sile ich natchnień.

I pod niejednym jeszcze względem wygrał się ten przepysznie harmonijny akord duszy poety i duszy malarza. Była zawsze tłem najgłębszym wszystkich obrazów Malczewskiego górna atmosfera przeduchowienia, jakoby o zaświat oparta, prześwietlająca tajemniczym wdziękiem przyrodzoną mu plastykę kształtu i nieprzepartą suggestywność barwy. I ostrym, ascetycznym konturem postaci napoły człowieczych, napoły anielskich, czarujących uśmiechem nietutejszym, zarysowywał się ów właśnie ascetyczny pierwiastek wyrzeczenia, który jest podstawowym tonem twórczości Malczewskiego, który go zwrócił ku onej pustce mroźnej, rozjaśnionej duchem Anhellego, bielą już legendarną tęczującej. I jest w Malczewskim, to samo, co w Słowackim, opętanie ideą, szal idej, zamknięty w zapatrzeniu oczu, z napięciem najwyższego uniesienia, zdających się wiecznie ścigać sen nad wszystko ukochany, zjawę wysnioną, u stóp której dokonuje się w szczęściu i męczarni całopalenie wszystkich mocy ducha.

Bo obrazy Malczewskiego, to sceny jakiejś wielkiej,

patetycznej tragedii, tragedii, której herosem jest zawsze on sam, posepny piastun narodowych męczeństw, zatracający się w bezdnach idei. Wszystko, co się poza nim dokonywa na jego obrazach, to przesłanki, których wynikiem są te dziwne zamyślenia czoła, te straszliwe skupienia zapatrzeń, ześrodkowane tak, że się być zdają wielką wypadkową wielkiej symfonii okoliska.

Tak więc na pierwszym planie dramat, znieruchomiała w tragiczną maskę twórcy, tłem przedziwna liryka pejzażu, wybuch uczuć, zamkniętych w kształt przyrody, moment ekstazy, rozkochanej w olśnieniu widzenia. Są więc symbolicznymi przedziwnie obrazy Malczewskiego nie dlatego, że mógłby ktoś rozwiązywać ich znaczenie, jak rebusy, lecz, że się w każdym z nich, jak w mikrokosmie, zamyka rozłożystość wszechświata, bezmiar bólu, spowity w bań barwnego kształtu. Jest gest mocarza w owych gwałtownych skrótach, w których się treść niezmierna zamyka, jest piorunowa wymowa w tej zwarłości zduszonej, wezbranych gdzieś po bezkres promieniowań ducha.

I tak się w kontur granitowy, jakoby w rzeczywistość podniesioną do którejś potęgi, zaklął olbrzymi sen twórczy, sen, w którym od lkań się zanosi cała przeszłość Polski i cała przyszłość Polski złotemi wróżby na tłach bezkresnych się wymalowuje.

Adam Znamirowski.



Praca kolo zasieków.



DR. ADOLF STERNSCHUSS

PRAWY OBYWATEL — SZTUKI POLSKIEJ MIŁOŚNIK I ZNAWCA — PORUCZNIK REZERWOWY WOJSK AUSTRYACKICH — OFICER LEGIONÓW — Z WŁASNEJ WOLI SZEREGOWIEC IV-go PUŁKU — ZGINĄŁ ŚMIERCIĄ BOHATERSKĄ DNIA 25. X. 1915. W WALKACH NA WOŁYNIU.

UWAGA NA CZASIE.

Zadania, jakie przypadły wiekowi XIX-mu do spełnienia, rozwija się około jednego zasadniczego postulatu, mianowicie około stworzenia konstytucjonalizmu. Zagadnienie to było logiczną koniecznością dla wieku, który przyszedł jako spadkobierca i kontynuator wielkiej rewolucji, i jako problem o szerokich granicach, wypełniło całe stulecie. Streszczało się ono w trzech etapach: obalenie absolutyzmu, wprowadzenie rządów konstytucyjnych i utrwalenie ich.

Realizacja odbyła się według historycznych prawideł ewolucji idei. Po upadku Napoleona, myśl wolnościowa wielkiej rewolucji, tłumiona wybujałym absolutyzmem

i reakcją, otoczoną nimbem religijnym, odrodziła się po rewolucji lipcowej, przetrwała narody i państwa i po kilkunastu latach przygotowywać, w połowie wieku zadała cios absolutyzmowi europejskiemu. Naturalny powrót reakcji nie zdołał już wskrzesić „starej Europy“, kilkanaście dalszych lat wystarczyło do zaaklimatyzowania się rządów konstytucyjnych, a lata następne zajęły się ich pogłębieniem i rozszerzeniem „praw ludu“.

W jakich granicach wiek XIX-ty spełnił swe zadanie? Naturalnie nie można tu mówić o fazach ostatnich, które są już raczej wykończaniem szczegółów, a nie stanowią jeszcze granicy. Odpowiedź mieści się w zało-

zeniu problemu i ono wykazuje nam lukę: mianowicie wiek XIX-ty nie usunął absolutyzmu rosyjskiego, oraz absolutyzmu w Turcyi, która, złączona wypadkami tak ściśle z Europą, także wchodzić musiała w jego rachuby.

Dlaczego tak się stało — nie miejsce oceniać; w każdym razie widać pracę wieku w tych kierunkach, czego wyrazem w Rosyi plany reformatorskie Aleksandra II-go, a w Turcyi „zanadto liberalna“ konstytucya Midhata paszy.

Owe niespełnione postulaty następstwem czasu przeszły jako spadek dla XX-go wieku. Ale przeszły już jako przeżytek. Skoro wiek XIX-ty miał usunąć absolutyzm, to absolutyzm w wieku XX-tym stawał się anachronizmem i nie wchodził już w jego zasady.

I wiek dzisiejszy zaraz u progu wziął się do usunięcia tych pozostałości, a wziął się szybko i radykalnie, tak, jak się wymiata pozostałości po poprzednim lokatorze. W Rosyę uderzyła wojna z Japonią, zjawisko z zagadkową początkowo twarzą, a później zrozumiane jako ten huragan, którym wiek XX-ty uderzył w podwaliny despotyzmu. Owa wojna i drugi huragan: rewolucya roku Piątego — stworzyły ukaz październikowy, bramę do wejścia konstytucjonalizmu, według historycznie ustalonych formuł.

Obok absolutyzmu rosyjskiego, padł absolutyzm w Turcyi, przez rewolucyę młodoturecką.

I w owym jakby rozmachu uprzątnięcia niepotrzebnych szczątków, padł nawet absolutyzm w Persyi i w Chinach — ostatnich swych ostojach.

A wszystko stało się szybko, w kilku zaledwie latach. Dług poprzedniego wieku został radykalnie wyrównany, wiek XX-ty oczyścił pole dla swych zadań.

I tutaj na przełomie kierunków pracy i zgodnie co do czasu, wystąpiło zjawisko o warunkach zagadnienia w szerszym stylu. Mianowicie wśród państw romańskich Europy ujawniły się idee antimonarchiczne: we Włoszech przybrały one formy propagandy, w Hiszpanii doprowadziły do wybuchów, a w Portugalii zrealizowały się.

Czem było to zjawisko?

Czy przeciągnięciem rozpędu myśli burzycielskiej? Czy zmodyfikowanym jej dalszym ciągiem? Czy wybujałą formą zakończenia i przemiany?

Ze względu na swą młodość i w braku perspektywy czasu, dla nas współczesnych przedstawia się ten przejaw jako oderwany i lokalny. Niemniej jednak już dziś ocenić można, że było to zjawisko mające cechy aktualności — nie tylko samym faktem powstania, że było ono „na czasie“. Wszakże wystąpiło ono na podłożu takich właśnie prądów i sił, będących w pełni rozkwitu, wśród jakich mogło się nietylko dogodnie rozwijać i łatwo rozprzestrzeniać, ale jakie przez analogię kierunków celu, mogłoby wprost dla siebie zaanekto-

wać. Czynniki te — to współczesne prądy socyalne, ich intensywność w okresie przed wojną i ich tendencye umiędzynarodowienia.

Ujawniły się one w wieku przeszłym jako siły pomocnicze przy realizacji myśli wolnościowej, a z biegiem czasu rozrosły się i wyolbrzymiały do samoistnych prądów kierunków, wytyczających łożysko dziejów. W swich dążeniach do zmiany ustroju społecznego ujawniały one nieraz cechy rewolucyjne, a organizując swe siły przez forsowanie zrzeszeń międzynarodowych, manifestowały swój zakres i jakby zdawały się przepowiadać, że „już się ma pod koniec starożytnemu światu“. A jak na tle tych przewrotowych hasel społecznych mogła budować przewrotowa myśl polityczna — wskazują historia.

O ile jednak między oboma czynnikami da się sprecyzować styczność ideowa, o tyle nie da się dziś określić czy i w jakich rozmiarach, weszły już w kontakt współpracy te dwa przejawy, jeden z cechami dojrzałości, drugi zdający się dopiero kiełkować. Ale w każdym razie jest faktem, że na drodze pochodzenia pierwszego z nich stanęła obecnie wojna, i to niewątpliwie nietylko co do swej współczesności, lecz także pod względem przyczynowym.

A temsamem też możnaby się dopatrzeć pewnego związku pomiędzy tą wojną, a zdającą się kształtować nową myślą polityczną wieku.

W szeregu następstw wojny, dających się już dziś przewidzieć, zaznacza się między innymi i to, że wojna, przez pewien ubytek w masach, osłabi liczebnie choć może nie stosunkowo, partye socjalistyczne, przewidywane zaś po wojnie pogłębienie kwestyi ekonomicznych podlegnie zapewne takim regulatorom, że ubytek ilościowy może nie znaleźć równoważnika jakościowego. W związku z tem pozostaje przejaw, że wojna wykazała już kruchość czy może sztuczność związków międzynarodowych, a temsamem zdaje się wróżyć czasową lokalizacyę czyli ograniczenie sił społecznych. Jeżeli jeszcze do tego dodamy, że obecna wojna centralizując władze, podnosi przez to autorytet władzy najwyższej i że ten autorytet sięgnąć może za granice wojny, wzmocniony aureolą zwycięstw czy ofiar — to te przesłanki upoważniają do wniosku, że wojna obecna — niezależnie zresztą od jej bezpośrednich zadań — jest w pewnym zakresie formą oporu przeciw postulatowi zmian społecznych i temsamem po części aktem obrony obecnego ustroju politycznego przeciw ewentualnym usiłowaniom przebudowy.

Pod tym kątem widzenia możnaby także określić tę wojnę, jako akt kontrrewolucyi z góry, mającej za zadanie obronę dogmatycznej formuły władzy.

Jan Grzywiński.



Św. p. STANISŁAW KASZUBSKI.



Kondukt pogrzebowy ś. p. Stanisława Kaszubskiego

Fot. T. Kamiński.

...Śmierć jego była czemś szczególnie wymownem, wzniosła się ponad inne ofiary, jak imię jego przebiję się ponad szeregi cichych, bezimiennie ginących, a jednak przez to właśnie tak wielkich bohaterów naszych.

Kaszubski mógł uratować życie. Jedno, jedyne zaprzeczenie mogło go uchronić od śmierci. Nie uczynił tego i dlatego śmierć jego, to nie jeden więcej tylko z milionowych epizodów zmagania się bojowego przeciwników, ale protest, protest tak głośny, że oto widzimy, iż siła jego wybiła się ponad huk wszystkich armat...

(Z przemówienia prezesa N. K. N., Dr. W. L. Jaworskiego).

...Za to, żeś był „Księciem niezłomnym“ polskich żołnierzy, żołnierzyku mały i prosty, szary oficerze z tłumu, Ty któryś był z Legionu i któremu na imię Legion, za to, żeś reprezentował mężnie i dumnie honor żołnierzy polskich wobec carskich oprawców, przynoszę Ci, bracie, od Twojej ukochanej brygady słowa czci i podziękę na Twą nową mogiłę.

(Z przemówienia kapitana Dr. M. Kukieła, przedstawiciela I. Brygady).

TADEUSZ SZANTROCH: OSTATNIE WSPOMNIENIE.

Czemuż Ciebie wspomniał tu?
do szturmu trąbią oło —
piersiom brakuje w pędzie tchu,
kul gwizd... grzmia salwy rot za rotą.

I z krzykiem, który gardło rwie
i w tonie serce ściska
pędząc, czemużem wspomniał Cię,
gdy śmierć tuż, tuż, tak bardzo bliska.

Czemuż ostatni spojrzeń krag,
co krwią się tu przesyca
objął i Ciebie... cieniem rąk
zastaniasz chwiejna blade lica.

Ach nie płacz! patrz... na Twoją cześć,
wydrę wrogowi życie!
Ach... nie ja
..... bagniet musiał znieść
gdzieś leżę w białych mgieł rozświcie.

I czuję w ustach słodką krew
i w oczach pustkę ciemną...
Gdzieś... trąbka gra... ostatni zew...
Ach nie płacz teraz Ty nademną.

EMMA ROSZYŃCÓWNA: IGRASZKI PANA.

— Wiesna... Tępło... — mruknął, a raczej westchnął Kirko, ogromne na dwa metry z górą kozaczysko, stanawszy we wchodowych drzwiach lubienieckiego dworu.

— Da... da, wiesna — przywodził mu z uśmiechem krepę i rozłożysty Iwanow, wystawiając z pod pachy kozaka na podwórzu swoją płaską i brodatą, poczciwą twarz.

— Żeby tak na Ukrainie... — westchnął kozak.

— Żeby tak w domu — przywodził Iwanow.

Na przeźroczystym, jak błękitne szkło, niebie promieniło się kwietniowe słońce, a z lodowych sopli, które na okapie dworskiego dachu przez noc narosły, spływała woda, niby kroplami płynnego złota. Same sople mieniły się także, jak gdyby były nie ze zwyczajnego lodu, tylko ze złota i kryształu.

Kozak przeciągł spojrzaniem popatrzył się na niebo, słońce, na złociste sznurki wody, spływające ze sopli na ziemię, a potem na wychylającą mu się z pod ramienia krągłą i żółtawą, jak dojrzała makówka, głowę Iwanowa. A oczyska miał ogromne, czarne, podłużne i matowe, niby dojrzałe śliwki.

— Ej, Iwanow, głupi z ciebie człowiek... Takiego duraka, jak ty, w całym parku niema. Co ty możesz wiedzieć o wiosnie... Jaka tam u was w Moskwie wiosna... Pożal się Boże... Nie pchaj się do drzwi, jak do rajskich wrót w cerkwi, bo cię na złość nie puszcze. Tam u nas, w południowej Rosyi, to ci wiosna dopiero!... Gdzie waszej, moskiewskiej, albo tej w Galicyi do niej... Bywało z wieczora ani ci się śni o wiosnie... Rano chuchnie wiatr od Czarnego morza, podrze chmury na niebie, a do południa świat ci w oczach zakwitnie, zamieni się jak święty cud, albo jak ikona w cerkwi, kiedy przed nią diaczek w uroczyste święto dziesięć świeczek zaświeci. Nie pchaj się, mówię ci... Czego się pchasz?... Modliłbyś się do tej zamienionej ziemi, jak do świętej ikony, całowałbyś ją, albo tłukł łbem o ziemię... Mocny Boże...

Iwanow tymczasem wypchał się popod ramię Kirka aż na dwór. Stanawszy sobie pod ścianą, oparł się o nią plecami i gapił się na słońce. Z pod rozpiętego, szarego od błota i z natury szynela wyjrzała mu szeroka pierś, ubrana dziwnie w czerwony aksamitną bluzę ze złotymi guzikami, kobiecą, bo obszytą gazową riuszą dookoła kołnierza. Riusza ta mocno się już była przybrukała na sałdackiej szyi i naderwała w jednym miejscu, niemniej jednak stanowiła wspaniale groteskową ramę dla jego brodatej, głupowato-dobrodusznej twarzy.

Kozak Kirko natomiast był elegantem pierwszej wody, najpierwszym na cały park, do którego, zgubiwszy swój pułk, przyszedł, a może — któż odważy się zaprzeczyć? — najpierwszym na cały armeński korpus. Miał na sobie czarną świtkę jakby z igły, z zaprasowanymi z tyłu fałdami, a przepasaną oliwkowym w czarne pasy szalem, związanym w ogromny jak u japońskiej musme z operetki węzeł z boku, srebrny kindżał i wysoką na pół metra czapę. Czapa była z najprzedniejszych karakulów, dno miała czerwone jedwabne z dziurą w środku i do złudzenia przypominała damski żarzątek. Nie była zapewne zbyt ciepła w mrozy a zbyt sucha w deszcze, ale za to obeszła się bez nagannej dla Kirkowej elegancji łaty na środku denka. Zresztą była tak wysoka, że na głowie Kirka trudno było dziurę tę dojrzeć. Wiedzieli o niej wszyscy, ale mało kto widział na własne oczy. Kto wie, czy dla tej czapy właśnie nie po-

święcił kozak całej swojej przyszłości, pułku, konia, kolegów i przyplątał się jak bezpański pies, piechotą do obcego parku. Nie rozstawał się z nią ani na chwilę. W nocy nawet kładł ją sobie pod głowę zamiast poduszki.

— Żeby tak na Ukrainie — wzdychał.

Tamby dopiero pochwalił się czapką. Jak Ukraina Ukrainą, Don Donem, takiej tam wielkiej czapki nie widziano.

— U nas — mówił Iwanow — także jest pięknie. Jak ci się na wiosnę słońce tak, jak teraz, wytoczy na niebo i stanie sobie na samym jego środku, akurat nad świętą Moskwą, i zaświeci nad cerkwiemi, rzekłbyś, że na niebie jedno słońce, a na ziemi sto ich, złotych i srebrnych się świeci... Tak błyszczą się do słońca cerkiewne banie.

— Babo, babuszko! — krzyknął na przechodzącą dziedzińcem starą kobietę z owczą twarzą, ubraną we włożony po tatarsku włosom na wierzch kozuch — chodźcie ino tutaj!

— A czego? — burknęła niechętnie stara.

— Chodźcie ino coś wam powiem!

— Coby ta Moskale dobrego mógł powiedzieć — mruzczała, ale zbliżyła się na trzy kroki do Moskali i wychekując wpatrzyła się w Iwanowa.

— My nie żadni Moskale, stara czarownico! — warknął na nią z góry Kirko. — Słyszałaś, że my sałdaci albo russcy ludzie. Doniosę do naczalstwa i trzy miesiące będziesz za Moskała w turmie siedziała.

— Tyś pewno nie Moskale! — odcięła mu się z miejsca kobieta — tyś nawet na Moskała za ladajaki. Czarczi syn z ciebie, rodem z piekła, do swego tatka-czarta kropla w kroplę podobny. Słyszałaś może co — zwróciła się do Iwanowa — o moim Jędrku?

Jędrak był to wnuk starej, niegdyś bezpłatny praktykant w dworskiej kuchni i ofiarne cielec Andrzeja, dworskiego kucharza. Gdy w pierwszych dniach pamiętnego sierpnia Andrzeja powołano pod broń i zamiast patelni wetknięto mu w rękę szablę, a stolnicę zamieniono na tornister, na tego to Jędrka spadł niby piorun z jasnego nieba dostojny i odpowiedzialny urząd pańskiego kucharza. Zaraz pierwszego dnia przy wieczery ukazały się na stole przypieczone na węgiel kuropatwy, rzywające na półmisku w czemś bardzo podobnym do roztopionej smoły i krem poziomkowy, suto osłodzony i zafarbowany według smaku Jędrka na mocno czerwony kolor zapomocą — papyrki. Jasna pani skosztowała kremu i rozkazała natychmiast stawić się Jędrkowi przed swoje oblicze. Jędrak nie czekając wyniku posłuchania, pobiegł do stawu, by się utopić. Żanim jednak zdolał rozebrać się z dworskiego kaftana, białego fartucha i czapki, (jasna pani, gdyby je wraz z sobą utopił, w grobie by mu odpocząć spokojnie nie dała) nadziedział starszy panicz. Poszeptał coś niedługo z Jędrkiem. Jędrak nabrał znowu gęstej miny i nie topił się już, ale też nie wdziewał ściągniętego kaftana, fartucha i czapki. Rano znalezione to wszystko złożone na stole w kuchni. Jędrak ze starszym paniczem znikli. Poszli do Legionów. Młodszy panicz także się napierał iść. W lubienieckim dworze nastął sądny dzień. Jędrusiowa babka łzami zalewała się w garderobie, jasna pani mdlała w swojej sypialni. Okazało się, że to niecnota Jędrak namówił paniczów do ucieczki, a na odchodnym, by tem więcej jasnej pani dokuczyć, spalił kuropatwy i zepsuł krem poziomkowy. Biedna babka ledwie przeblagała jasną

panią za winy wnukowe. Z końcem sierpnia przyszedł w jednej kopercie list od panicza do hrabianki Krystyny i od Jędrka do babki, gdzieś z pod Kielc czy Lublina, czy innego końca świata. Potem wtargnęli do kraju Moskale i nieszczęsna babka nie otrzymała już żadnej wieści od wnuka.

Jednej nocy wyśniło się jej, że Jędrak został oficerem w Legionach. Cały tydzień chodziła z zadartym w górę nosem i do nikogo, prócz jasnej pani, hrabianki Krystyny i młodszego panicza, mówić nie chciała. Innej nocy znowu Moskale, którzy stali kwaterą we dworze, zaglądając za dziewczętami, wyjęli w garderobie szybę z okna. Noc była zimna. Stara Kołaczkowska pod oknem spała i zmarzła na kaczan. Też nocy przyśnił jej się Jędrus, na Syberyi, niby Lotowa żona w słup ale nie solny, tylko z lodu zamieniony. Stara od tej pory chwili spokoju nie miała. Każdego spotkanego sądata wypytywała się to o Syberyę, to czy nie widział tam jej wnuka. I teraz, usłyszawszy, że Iwanow ma jej coś powiedzieć, była pewną, że powie jej wieść o Jędrku, zamienionym w słup lodowy.

— Chodźcie bliżej babuszko, to wam powiem.

Stara kobieta zbliżyła się do sądata na dwa kroki odległości, a na krok wyciągnęła ucho.

— Jeszcze bliżej, babuszko. Ot, tak...

Objął w pół starą babę i przytknąwszy brodą twarz do jej twarzy, wrzasnął na całe gardło:

— Babuszko, wiesz na dworze... Ot, co jest!

Okręcił nią jak wrzcionem dokoła siebie i dogadywał:

— Wiesz! ...Niema zimy, niema Karpat!... Uciekajcie babuszko, bo oczy zamknę i na śmierć was z uciechy zcałuję. Miły Boże, wieszna...

Puścił babę, aż się zatoczyła.

— A bogdaj ci Pan Jezus głos odebrał, a ciebie, recho-tający się dyabelski synu, niby topola wysoki, w dzie-sięcioro połamał i rzucił w ogień piekielny. Bogdaj was wrogi pierwsza kulka w polu nie minęła.

— Nie złościę się babuszko — śmiał się Iwanow.

— Milcz, czarownico! Jeszcze wypowiesz w złą godzinę — zęgnął się zabobonnie kozak.

Lodowe sople na okapie dachu stopiły się całkiem prawie. Sterczał tylko jeden jeszcze, nie większy od kolea larniny.

— Ale ci grzeje — zauważył kozak, któremu z pod karakułowej czapy zaczęły sływać na czoło sznureczki potu.

— Ale ci świeci — wtórzył mu Iwanow. — Jasne, jak sama najjaśniejsza caryca.

— Alboś widział ty kiedy carycę, Iwanow?

— Widziałem ją raz w Moskwie, gdy po schodach do cerkwi z freilinami wchodziła. Stałem sobie koło drzwi i patrzałem w najjaśniejszą, aż mi w oczach się zaćmiło i łzami mi one zaszyły. Popychali mię, za kark ciągnęli, bili, alem się zaparł nogami w ziemię i nie ustąpiłem. Sama najjaśniejsza popatrzała się na mnie... Wodzili mię potem do policmajstra za to patrzeć, tydzień w cyrkule trzymali, ale com widział, to moje zostało.

— Jak wyglądała najjaśniejsza, Iwanow? Czy taka jasna była jak to słońce?

— Ej nie, nie taka jasna — potarł sobie Iwanow z zakłopotaniem brodę. — Była ubrana czarno, jak jesienna noc z wieczora, a na twarzy blada i smutna, jak jesienny miesiąc za mgłą. Podobno ciągle choruje. Ale mimo tego musiała jakaś jasność być od niej, choć widać jej nie było, kiedy mi tak do cna pociemniało w oczach.

— Grzmocili ciebie, głupi, po karku, więc ci w oczach pociemniało.

— Pst... — poruszył się niespokojnie Iwanow — nie mów nic o carycy... Ktoś idzie... Może to sam praporszczyk. Ten, od kiedy młoda grafinia wyjechała, ciągiem lazi. Włóczy się po pokojach, po sieni, po podwórzu, po piwnicy, a nawet po strychu. Miszka, który zeszłej nocy stał na warcie niedaleko okienka od strychu, kłął się, że praporszczyk po belkach jak kot skakał i miauczał przezrażliwym głosem.

Z za węgla domu wyrzwał długi i czerwony jak u indora nos, zawieszony między dwiema pałkawatami brwiami.

— To Rufula idzie. Ten ani słowa po chrześcijańsku nie rozumie.

Rufuła Achmet był Turkiem. Kiedy wybuchła wojna z Turcyą, Rufuła rękami i nogami bronił się przed odstawieniem go do tureckiej granicy. Podejrzrywano go trochę, że był tureckim szpiegiem. Rufuła albo nim nie był, albo był, ale kutym na cztery nogi. W potyczce koło Sokala stracił trzy palce z prawej ręki, poczem go przydzielono do wojskowej piekarni. Zdołał tam zepsuć mniej więcej sto pudów mąki, wypiekając chleb na jakiś turecki, niesłychany sposób. A kiedy pół pułku po spożyciu tego chleba rozchorowało się, wyrzucono Achmeda z pomiędzy piekarzy i zakazano mu pod najsurowszą karą pokazywać się na pięć wiorst w promieniu piekarni. Przysłał więc do parku i woził amunicję. A raczej nie woził niczego, bo amunicji pod ten czas zabrakło i nie było czego wozić.

Turek mruknął stojącym coś, czego zrozumieć było nie sposób, zwyczajnie jak po turecku i przysiadł sobie na progu, prawie u nóg Kirka. Zdawał się nie słuchać zupełnie, co tamci dwaj do siebie mówili. Pocierał ręką czerwony nos, pomrukiwał z cicha i liczył sobie coś na palcach. Rachunek źle mu wypadł, zapewne z powodu braku trzech palców u prawej ręki, bo ciągle zaczynał rachować na nowo.

— Ale ci dogrzewa — ocierał kozak rękawem oczy, które mu pot zalewał.

— Ale ci przyświeca — przecierał Iwanow kułakiem swoje, bo mu, wpatrzone w słońce, łzami zaszyły.

— Patrzeć tylko, jak się las zazieleni.

— Może już zielony — dogadywał Iwanow. — Napewno już zielony.

— Wartoby pójść, popatrzeć...

— Da, wartoby.

— To chodźmy...

— Kiedy się boję... Panicz ze dwora chodził ze skargą do miasta do naczałstwa.

— A naczałstwo kazało paniczowi złapać złodziejów i do naczałstwa przywieść. Łatwo powiedzieć złapać...

— Da, da, łatwo wyrzec. A praporszczyk groził, że powiesi...

— Ech, praporszczyk... — wzgardliwie dźwignął kozaczysko ramionami. — Ten, od kiedy młoda grafinia wyjechała, całkiem nieprzytomny.

— Da, da — przyświadczył znowu Iwanow, wszelako oglądając się na otwarte okno w prawem skrzydle dworu.

W oknie tem widać było za liśćmi filodendronu schyloną jasną głowę chłopca.

— Nie widzisz? — wrzucił znowu kozak ramionami — toż czyta jak zwykle i o całym świecie nie wie. Jutro, Iwanow, jest jarmark w mieście. Miszka będzie babskie koszule, co je babom złupił, gdy na rzece prały, sprzedawał, Piotr Piotrowicz poduszki i pud cukru, a Bezzubow wór figurek z porcelany. Piotr Piotrowicz nie ma przecież fabryki cukru, a Bezzubow sam swoich

figurek nie ulepił... Co mamy się płatać po próżnicy po mieście? Obaj, jak dostojni gospodarze, staniemy sobie przy wozach z drzewem. Ty przy jednym, ja przy drugim. Rufuło, — trącił kolanem siedzącego mu u nóg Turka — pójdziesz z nami?

Turek przerwał liczenie i podniósł na kozaka krągłe oczy.

Drugie kopnięcie, nieco silniejsze od pierwszego, wytłumaczyło mu dokładnie, czego tamci dwaj od niego żądają. Dźwignął się więc i patrzył to jednemu to drugiemu w oczy, niepewny, w którą ma iść stronę. Trzecie szturchnięcie wskazało mu dokładnie drogę. Poszedł więc przodem, jakby to on był inicjatorem niebezpiecznej wyprawy, a tamci dwaj pociągnęli powoli i jakby z niechęcią za Turkami.

Na polu szmaragdowe zagony oziminy, zarzucone złotą i ciepłą siatką słonecznych promieni, potęgowały jeszcze wrażenie wiosny. Po miedzach i rowach leżały gęsto kałuże wody, krągłe i błękitne od odbijającego się w nich błękitu nieba, a czasem, od lecących po niebie białych chmur, białe jak srebro. Po jednej z nich przechadzał się poważnie podkasany bocian i zanurzał w szafirowej wodzie swoje czerwone, wysokie nogi. Gdy jeden z sałatów rzucił za nim kamieniem, wielkie pta-

szysko wzbilo się na skrzydłach w górę, ale zaraz opadło na ziemię i stanąwszy na jednej nodze, gniewnie przyglądało się napastnikom. Dalej, za bocianem i oziminą, widniał las, półkolisty jak tęcza i jak tęcza mieniący się pawim szafirem i fioletem, a od samego spodu za ledwie dostrzegalną zielenią.

Na przydrożnych wierzbach wisiały długie, popielate bażki i chwiały się za lada powiewem wiatru. Rufuła Achmet zauważył na jednej, zwieszającej się nad samą drogą gałązce niepomierne długie. Zapominając o swem kalectwie, podskoczył w górę i machnął po niej prawą ręką.

Z gałązki posypało się na ziemię pół tuzina bażek. Tylko jedna, najmniejsza, została Rufule Achmedowi w ręce; a i ta spadła na ziemię. Turek popatrzał na leżące w błocie bażki, potem na swoją pustą, otwartą rękę i obejrzał się żałośnie na towarzyszków.

— Czujesz, jak w powietrzu pachnie wiosną? — zagadnął kozak Iwanowa, który, idąc za nim, rozglądał się dokoła po polach, po rowach, albo zadzierał w górę niby czapla głowę i kręcił nią na wsze strony, póki się nie potknął o leżący na drodze kamień. Wtedy spuszczał głowę i patrzył się znowu na drogę, rowy i pola za rowami.

Ciąg dalszy nastąpi.

P R Z E G L A D.

KONKURS NA NOWELĘ.

Ogłoszony przez nas konkurs na utwór nowelistyczny przyniósł nieobfity materiał. Nadesłano razem 25 utworów, z których większa część już samymi rozmiarami nie odpowiadała warunkom.

Uproszczeni sędziowie JWPP.: Tadeusz Żuk Skarszewski, Maciej Szukiewicz i Dr Lucyan Rydel, stwierdzili z przykrością, że żadna z prac nadesłanych nie stoi na poziomie najskromniejszych nawet wymagań, jakie stawiać jesteśmy uprawnieni.

W rezultacie, po najtroskliwiej przeprowadzonej analizie, żadna z nowel nie została uznana za godną nagrody — a co więcej, żadnej nie polecono do wzmianki zaszczytnej w piśmie.

Stwierdziwszy, że nadzieje, związane z konkursem na nowelę spełzły na niczem, PP. sędziowie oddali cały materiał do dyspozycji redakcyi „I. Tygodnika Polskiego“, która postanowiła konkursu nie wznawiać i uznać go na razie za zamknięty.

Składamy więc tylko na tem miejscu najgorętsze podziękowanie JWPP. Sędziom za trudy czytania materiałów, zarówno pierwszego naszego, jak i drugiego konkursu.

Redakcyja.

Z SALI ODCZYTOWEJ.

Dnia 31-go października odbył się w sali Towarzystwa Technicznego drugi odczyt z seryi, urządzony staraniem ruchliwej Ligi Kobiet w Krakowie. Prelegent, znany publicysta i autor szeregu dzieł, poświęconych sprawom „kresów“, p. Leon Wasilewski, mówił na temat „Rola żywiołu polskiego na Litwie i Rusi“. Scharakteryzowawszy ogólnymi rzutami antagonizm dwóch światów kultury, ścierających się na wschodnich połaciach dawnej Rzeczypospolitej, p. Wasilewski przedstawił obraz walki eksterminacyjnej, jaką Rosya wypowiedziała polskości na Litwie i Rusi. Zestawienie faktów z tej dziedziny posłużyło mu za podstawę do wniosków, które streszczały się w tem, że jedynym na prawdę kulturalnym i cywilizatorskim żywiołem między Dźwiną a Dnieprem pozostali dotychczas Polacy, choć rząd rosyjski i rosyjski nacjonalizm skazały ich tam

na zagładę. To też w nowych warunkach bytu, tworzonych przez wojnę obecną, polskości na Litwie i Rusi niechybnie zdobędzie dla siebie szerokie pole rozwoju. Licznie zebrana publiczność podziękowała prelegentowi za jego ciekawe wywody hucznyimi oklaskami.

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI: BITWA POD KONARAMI. Kraków 1915. Nakładem C. B. W. Okładka i rysunki A. S. Procajłowicza.

Kaden stał się już pisarzem modnym, t. j. takim, któremu ani pochwały nie pomogą, ani przygany nie zaszkodzą. Czytają go wszyscy, i ci, co się interesują indywidualnością młodego, a już trochę zmanierowanego pisarza-legionisty, i ci także, dla których wszystkim jest temat — w tym wypadku życie I. Brygady Legionów.

„Bitwa pod Konarami“ powinna zająć jednych i drugich. Pierwsi mają sposobność obserwować wpływ wojny na talent, wpływ, który zaznacza się poczuciem ważności żołnierskich czynów, przeniesionem na ich literacką impresję, oraz pewną beztroską o styl, tą samą beztroską żołnierską o jutro, z jaką wydaje się żołąd w zajętem mieście; czemże jest jedna i druga wobec pozostawionej w domu troski o życie?

Ci zaś, dla których treść jest wszystkim, znajdą w książce impresję jednego z najciekawszych rozdziałów dziejów I. Brygady, impresję niekiedy zgoła malarską, chwilami stwarzającą czytelnikowi złudzenie rzeczy widzianych. Może najslabiej wypadł ustęp poświęcony samej bitwie pod Konarami, w którym twarda dyscyplina faktów skrepiła główną właściwość autora: liryzm. Liryczny ton dominuje bowiem u Kadena nad wszystkim, zarówno nad zamilowaniem do notatek kolorystycznych, jakimi są po części jego szkice, jak i nad tematyczną szarością strzeleckiego munduru, którego prostota sama się stylizuje i wszelkiej literaturze urąga. Z poczucia tej prostoty zrodziła się artystyczna szata zewnętrzna książki, świadcząca w kilku winietach, że dorywcze wyraz wrażliwości artystycznej na to, co się dzieje, może się objawić netylko lżą liryczną, ale także linią pełną niewyszukanego piękna.

K. B.

Z TEATRU.

Dni świąteczne przyniosły obok nieuniknionego „Młynarka i jego córki“ dwa wznowienia: w teatrze ludowym „Hanusię“, w miejskim „Ćwiartkę papieru“. Obie, w różnym guście, miały charakter zaduszkowy: tamta jest oratorium, które z nędzy ziemi tęsknotą wniebowzięcia dosięga Boga, ta danse macabre dokoła listu miłosnego, dziesięćkrotnie spalonego, gaszonego, zwijanego i znowu zapisanego; taniec wykonują upiory drugiego cesarstwa, w święto umarłych wywiedzione z rekvizytorni, odpylone, raz jeszcze ufryzowane, wyblanszowane i w wir popchnięte rafinowaną dłońią podstarzałej muzy Wiktoryna Sardou, która przez pół wieku uczyła siebie i innych, jak ciągnąć przeliczne sznurki misternego mechanizmu, gwoli nauce i przestrodze rozkładanego i składanego wielokroć przez bakałarzy sztuki dramatopisarskiej. Sardou! „Problem“ jest tak dokładnie zbanalizowany, że bierze serdeczna ochota skryć się za wygodną zasadę Waltera Patera o „obowiązku ignorowania tego, co nie staje na wysokości uprawy estetycznych czy etycznych postulatów krytyka“. Lecz oto na dźwięk czarowny tego nazwiska przepracowani wzmiankarze kuryerkowi, jubilaci ofisialni w boju ze zdrowym sensem, a do ostatniego tehu niezmordowanie grożący nożycami chorobliwemu symbolizmowi, zapadają w świątlny nastrój zaduszkowy: przywodzą na pamięć świetlane chwile teatru krakowskiego z przed laty trzydziestu, dyrekcję Skorupki i Koźmiana, niepokoją cienie Modrzejewskiej, Bandy, Hofmanowej, Lubicza — okres, który nad innymi tę właśnie ma zasługę, co zrestaurowane episkopskie królestwo Ludwika Filipa nad bezbożną republiką w gasnących oczach babcí Czaplínskiej w „Awanturze“: „mieliśmy wówczas lat dwadzieścia i przeżywali farysową dobę naporu i burzy“, co prawda w „szklance wody“, i do tego Scribe'a. Co uczeńsi z nich pragną tedy tej ćwiartce papieru, po francusku: różkom pszczelim („Les pattes de mouche“) odszukać honorowy rodowód z marivaudage'u XVIII. w., sentymentalni przeczuwają bliżej nieokreślony związek między autorem, po „Divorcions!“ i „Fedorze“ raz trzeci zmartwychwstającym w tym roku na scenie, a wypadkami wojny światowej. Ufajmy, że głęboki ten koncept historyozoficzny nie zostanie bliżej określony.

Młodzi, którzy z winy spóźnionego na świat przyjscia nie pomną tryumfów „Damy kameliowej“ i „Półświatka“, o ile dla pociechy nie wstąpili jeszcze w sławetny cech estetów, wierzących w dwa rodzaje sztuki: sztukę mięsa przy kościele z chrzanem i sztukę mięsa w trykotach w balecie, widzą na razie automatyczny ruch tekturowych maryonetek, wplecionych w szereg sytuacji, świetnie zazębionych, kręcących się nieznużenie dokoła centrum akcji: świstka papieru, oglądną może brabantki deseń dyalogu, który zblizka okazuje się robotą szytą białym ścięciem, ale kiedy poprzez tę powierzchnię zechcą dotrzeć do wewnętrznych intencji tej zabawy, staną bezradni wobec turbiny ruchów, w której nic się naprawdę nie dzieje, wobec zdumiewającej bezcelowości rozmów, wobec igraszek trafu i miłości, w których przypadku jest bez liku, ale ni śladu kochania. Gdyby prawdą było, co uczy Bergson, że komizm rodzi się w momencie, gdy sytuacja lub człowiek spokrewniają się z automatyzmem, musiałyby położenia te i figury, zmaryonetkowane w stopniu idealnym, dać chyba najzabawniejszą komedję na świecie.

Wiem, że wydrwiona w łatwych conceptach formuła wujaszka Sarcey'a: „c'est du théâtre“ nie jest takim anachronizmem, za jakoby go podać pragnęli rozczochrani twórcy „dramatów ideowych“, którzy anarchiczną nienawiść do ładu burżuazjskiej egzystencji przenieśli nazbyt lekkomyślnie na organizacyjny czynnik dramatu mieszczańskiego, później

dramatycznej kompozycji wogóle. Troska o sprawne dopasowanie sprzężyn, zapewniających mechanizmowi dokładność ruchów, jest elementarną koniecznością optyki scenicznej, perspektywicznym skrótem życia, równie zapewne konwencjonalnym, ale i równie nieuniknionym, jak te kilka godzin i kilkadziesiąt metrów kwadratowych, na których kondensuje się czas i przestrzeń dramatu. Teatr jest w założeniu oparty na konwencji i z chwilą, gdy wybito czwartą ścianę sceny na widownię, wszelki „konsekwentny naturalizm“ stał się niedorzecznością. Do Sardou tedy chodził po tajemnicę swego rzemiosła przyszły twórca „Podpór społeczeństwa“; do tejez Canossy powędrował Maeterlinck, kiedy dawny żeglarz po mare tenebrarum nieświadomego natknął się w „Monnie Vannie“ poraz pierwszy na oporny materyał rzeczywistości. Tesame etudy kontrapunktu scenicznego odegrali wielokrotnie Zapolska, Kisielewski, Konczyński, Perzyński i wracają do nich, ilekroć donkiszoterje reformowanej sceny przyszłości grożą im znieczuleniem zmysłu teatru, zatrąta tego, co Dumas młodszy nazywał „la vision nette du réel“, a co jedynie skutecznie chroni przed ojcostwem pokracznego stworu: dramatu książkowego, benjaminka talentów polskich, w anhelicznym odmiecie liryki topiących od lat stu próby dramatu polskiego.

Arsenał środków dramatu dzisiejszego leży w Sardou. Chodzi tylko o ten bezcenny drobiażg: aby w mozolnem motaniu intrygi zderzyły się konflikty, w których ze starcia namiętności wynurzają się charaktery człowiecze, aby raisonneur miał wymowę „wroga ludu“ lub grozę Nieznajomego z dramatów Przybyszewskiego, by wreszcie te zmateryalizowane ośrodki akcji: szklanka wody, ćwiartka papieru czy nitka jedwabiu nasyciły się tą dynamiką symbolu, co schronisko kapitanowej Alwing, dzika kaczka Hialmara Ekdala, białe konie na Rosmersholmie.

Póki tego niestaje, sztuka sceniczna przy całej wirtuozerii środków tkwi bez ratunku w konwersacji. Grać ją trzeba stylem, który w stopniu zblizonym do doskonałości posiada w dzisiejszym zespole jedynie doskonała spadkobierczyni rezonerek, p. Solska; po rocznej absencji okazuje, mimo niezaprzeczonego odpływu świeżości i wyrażonego zmańczenia linii, tęsamą zawsze czujność w chwytności point dyalogu i nieposzlakowaną czystość frazowania. Gra z nią kampanię sprytu i nonszalancji p. Leszczyński, wszechbyły poskramiacz dzikich zwierząt i sawantek. W sławnej scenie pojedynku dobrze parował ciosy dyalogu p. Dąbrowski, a pp. Jarszewska i Grabowski z trudem ożywiłi role bez znaczenia. P. Dygatówna, byleby opanowała profusję gestów i uśmiechów, będzie wdzięcznym podlotkiem, z typu naiwnych częściowo uświadomionych. Na razie całą gamę dziewczęcych uroków podrabia forsownie p. Kamińska, dziś hiszpańska tancerka, jutro panienska z dworu, pojutrze messalina z partykularza: bogaetwo typów, które muby podolał ledwo sam Solski, przetłomaczony ins Ewigweibliche.

Tad. Świątek.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu L. S. Wiersz patryotyczny, ale bez wartości literackiej.

Pani M. G. w Wiedniu. Nowela Sz. Pani, jako podpisana, została usunięta z pod oceny Sędziów konkursowych. Czytniacz zadość żądaniu Sz. Pani, odesłamy pod podany adres, jakkolwiek rękopisów z zasady nie zwracamy.

Autorowi artykułu: „My, czy oni“

Kiedy na całym świecie wre wojenny zamęt,
Inni krew przelewają, ty lejesz — atrament.

Znasz przypowieść o jabłkach, płynących po Wiśle?

Wspomnij ją, będziesz wiedział, co o tobie myślę.

P. Stanisławowi Serwinowi w N. Sączu. Bardzo prosimy.